

MONIKA RUTKA



piętno
GENEVIEVE

POD OSŁONĄ MILCZENIA

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Anna Skóra

Korekta: Anna Smutkiewicz

Projekt okładki: Justyna Knapik

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: *kontakt@beya.pl*

WWW: *beya.pl*

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

beya.pl/user/opinie/ciege2

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2230-3

Copyright © Monika Rutka 2026

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

PROLOG



Edynburg, rok 2016

Grace

Otwieram oczy, gdy samochód się zatrzymuje. Wyjmuję z kieszeni dziesięć funtów, które od kilku minut przekładam między palcami, podaję je kierowcy, po czym opuszczam taksówkę i bez wahania ruszam w kierunku kamienicy. Klucze wbijają mi się w skórę dłoni. Jestem pewna, że zostawią na niej czerwone ślady, ale zamiast bólu doznaję ulgi. Odkąd się obudziłam, tkwię w poczuciu derealizacji albo nawet depersonalizacji. Świat wydaje się nierzeczywisty, emocje stłumione, dźwięki i kolory sztuczne, a ja jestem tylko poruszającą się pustą skorupą.

Wchodzę do środka. Lampy automatycznie zapalają się nad moją głową, kiedy przemierzam korytarz. Nogi unoszą się mechanicznie, jakby mięśnie pamiętały kąt, pod jakim powinny zgiąć się kolana, aby dotrzeć na drugie piętro. Choć chodzę tą klatką schodową każdego dnia i znam ją na pamięć, wydaje się dziwnie obca. Inna.

Nie czuję w swoim wnętrzu żadnej zmiany, gdy stoję przed drzwiami z przyklejonymi do nich srebrnymi cyframi. Moje ręce nie drżą, oddech nie przyspiesza, a serce nie uderza w klatkę piersiową ani trochę mocniej.

Jestem skałą.

Przekręcam klucz w zamku, naciskam klamkę i pcham skrzydło. Wiele białych piór wciąż zaściela podłogę. Książki, które

wczoraj spadły z regału po tym, jak w niego uderzyłam, są ułożone w pokaźny stos. Nie wiem, kto za tym stoi, wczoraj nawet nie zwróciłam uwagi, że zostały sprzątnięte.

Chwilę nasłuchuję, czy w środku aby na pewno nikogo nie ma. Stawiam krok, później następny i jeszcze jeden. Zaglądam do sypialni, łazienki, kuchni.

Pusto.

Pomieszczeniem, które zostawiam na koniec, jest salon. Staję w przejściu, przejeżdżam wzrokiem po meblach, ścianach, schodzę niżej, aż natrafiam na dywan pokryty moją krwią. Wpatruję się w niego tępo i znów czuję się niczym obserwator świata, jednak tym razem patrzę na coś, co już się wydarzyło.

Londyn, rok 2009

ROZDZIAŁ 1



Vanderbilt

Genevieve

Obserwuję mijany las, oświetlony jedynie blaskiem księżyca, starając się pozostać w bezruchu. Oddech mam miarowy, lecz utrzymanie go w takim rytmie kosztuje mnie wiele energii. Skubię palcami udo z nadzieją, że dzięki temu choć trochę się uspokoję.

Nic bardziej mylnego.

Drzewa znikają, zamiast nich widzę lampy solarne ustawione w idealnie odmierzonych odległościach. Samochód wjeżdża powoli na niewielkie rondo, w końcu całkowicie się zatrzymuje i silnik gaśnie. Mimo to – nie ruszam się. Cierpliwie czekam na Benjamina, którego zadaniem jest otwieranie mi drzwi. Normalnie, gdyby mamy tu nie było, wyszłabym sama, ale zawsze, kiedy robię to w jej obecności, prawi mi kazania. Uważa, że powinnam pozwalać traktować się jak królowa nawet naszemu szoferowi, ponieważ jedno odstępienie od zasady doprowadzi do przesunięcia kolejnych granic, a na to jako kobiety nie możemy sobie pozwolić. Inaczej mężczyźni zrobią z nami, co tylko będą chcieli, i przestaną nas szanować.

Benjamin pomaga wysiąść mojej matce, a następnie mnie. Dziękuję mu mrugnięciem, by „niepotrzebną uprzejmością” nie narazić się na ewentualne morały, których w tej kwestii również wysłuchałam już wiele.

Wyglądam dłonią łososiową sukienkę, zadzieram podbródek i nakładam na twarz jeden z wyćwiczonych uprzejmych, lecz wyważonych uśmiechów. Kątem oka widzę, że mama poprawia właśnie etolę, chłodnym spojrzeniem omiatając subtelnie okolice. Gdy na mnie patrzy, dodaje do tego sztuczne uniesienie kącików ust.

– Gotowa? – pyta.

Odpowiadam skinieniem głowy.

Matka rusza w stronę głównego wejścia. Ubrani w eleganckie fraki konsjerże witają nas nazbyt wylewnie, jakby stanęła przed nimi co najmniej królowa Elżbieta. Nie mogę więc nic poradzić na to, że zaczynam się zastanawiać, ile można zarobić na takim przedstawieniu.

Światła żyrandoli niemiłosiernie rażą mnie w oczy. Potrzebuję chwili, by przyzwyczaić się do panującej w holu jasności. Gdy to następuje, korzystam z nieuwagi Alexandry i pozwalam sobie na szybkie, ostentacyjne rozejrzenie się po pomieszczeniu i głośne westchnienie.

– Czy naprawdę za każdym razem muszę przypominać ci o fryzjerze? – rzuca mama, nie obdarzywszy mnie spojrzeniem. – Znów widać twój odrost.

Odruchowo patrzę w lewo, gdzie znajduje się olbrzymie lustro w złotej ramie. Faktycznie, u nasady włosów można zauważyć ich naturalny, brązowy kolor. Farbuję je od dwóch lat. Matka uważa, że jasne włosy dodają mi dostojęstwa, szczególnie na scenie. Mnie się jednak wydaje, że powód jest zgoła inny.

– Przepraszam – odpowiadam automatycznie. – Jutro się tym zajmę.

Moje słowa pozostają bez odpowiedzi.

To kolejny bankiet, na którym musiałam się zjawić tylko po to, żeby ładnie wyglądać. Robię tu za ozdobę i okaz, niczym rzeźba w muzeum. Matka pokazuje mnie ludziom, mówi z dumą o moich osiągnięciach, po czym zapomina, że istnieje.

W towarzystwie jestem powodem jej chluby, w domu zaś zbędnym balastem.

– Alexandra.

W naszym kierunku zmierza wysoki szatyn. Jego dominującą aurę wyczuwam już z daleka. Mama nieco się rozluźnia, jednak swą postawą jasno pokazuje, że mimo wszystko to ona chce mieć tu władzę.

– Charles. – Nadstawia policzek, który ten całuje. – Jak się masz?

– Teraz znakomicie. – Jego wzrok pada na mnie. – Witaj, Genevieve. – Ledwie wyczuwalnie muska wargami moją dłoń.

– Dzień dobry, panie Vanderbilt.

Mężczyzna prostuje się i raczy nas filuternym uśmiechem.

– Wyglądacie olśniewająco.

– Nawet komplement w twoich ustach brzmi jak manipulacja – mówi obojętnie mama. – Gratuluję talentu.

Vanderbilt się śmieje. Nie jest urażony, to po prostu widać. Tylko mojej matce pozwala na kąśliwe uwagi, bo gdy wypowiada je ktoś inny, nawet bliskie mu osoby – w tym także żona – jest dla nich bezczelny i chamski.

– Harrisona nie będzie?

– Nie. – Mama wysuwa ku niemu rękę. – Bądź dżentelmenem i zaprowadź nas do stolika.

Pan Vanderbilt nie waha się nawet przez chwilę. Bierze pod ramię mnie oraz matkę, po czym idziemy przez długi korytarz do głównej sali. Po drodze oboje witają mijanych ludzi, ja za to robię wszystko, by pozostać niezauważoną, co w ich obecności nie jest takie łatwe.

Gdy Alexandra Herrera i Charles Vanderbilt pojawiają się gdzieś publicznie, spojrzenia wszystkich kierują się właśnie na nich. Budzą respekt, ale też postrach. Dorastali razem, mają podobny sposób myślenia, a nawet charakter. Pomimo tego, że pochodzą

z zamożnych rodzin, które od wielu pokoleń budowały swoje imperia, nie osiedli na laurach. Ciężko pracowali, żeby zdobyć uznanie w świecie biznesu. Niejednokrotnie udowodnili, że są odpowiednimi osobami na odpowiednich stanowiskach. Mają nawet szacunek swoich przeciwników, a to bardzo dużo o nich mówi.

Przy naszym stoliku siedzi już żona pana Vanderbilta, Eleanor. Jego dzieci nigdzie nie dostrzegam, ale nie mam wątpliwości, że się tu pojawią. Przy talerzyku obok mojego znajduje się karteczka z imieniem Jamesa. To nie przypadek, że posadzono go właśnie w tym miejscu.

– Genevieve, kochanie. – Eleanor wita się ze mną całusem. – Dostałaś ostatnio ode mnie kwiaty?

– Dzień dobry. Tak, były przepiękne. Dziękuję. – Uśmiecham się do niej uprzejmie.

Eleanor jest jedną z niewielu osób w tym towarzystwie, które darzę szczerą sympatią.

– Przyznam, że poleciała mi łożka, gdy na ciebie patrzyłam. – Ściska moje dłonie. – Mistrzowsko przekazujesz emocje w tańcu. Widać, że balet to całe twoje życie. Nie zmarnuj talentu. Pracuj ciężko i dbaj o wrażliwość, którą w sobie nosisz, a osiągniesz niebywały sukces. Zresztą nie tylko ja tak uważam. – Patrzy ponad moim ramieniem. – Ach, o wilku mowa.

Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, kto jest za mną. Wypuszczam drżący oddech, po czym przybieram pewny siebie wyraz twarzy i staję bokiem do zbliżających się dzieci państwa Vanderbiltów.

Tristan, dwa lata starszy ode mnie, najmłodszy z całej trójki, z wyższością, wręcz pogardą, rozgląda się po pomieszczeniu. Najpewniej usłyszę za moment jakiś przytyk na temat swojego ubioru bądź uczesania. Upokarzanie ludzi wydaje się ulubionym hobby tego chłopaka.

Idąca po jego lewej Veronica to zupełne przeciwieństwo brata. Mimo że dzieli nas sześć lat, odnalazłyśmy wspólny język. Nie nazwałabym jej koleżanką, lecz bez wątpienia nie jest moim wrogiem. Imponuje mi swoją bezpośredniością. Sprzeciwia się wszystkim wartościom wyznawanym przez rodzinę. Zupełnie do nich nie pasuje, jakby była niewłaściwym elementem układanki. Niejednokrotnie słyszałam z ust pana Vanderbilta, że Veronica jest nieudanym eksperymentem i jeśli ktoś kiedyś pociągnie ich na dno, będzie to właśnie ona.

Robię, co w mojej mocy, żeby jak najbardziej odwlec moment, w którym spojrzę na Jamesa, a gdy to się dzieje, okazuje się, że on już na mnie patrzy. Chociaż z wyrazu twarzy tego chłopaka niewiele można wyczytać, jego zielone oczy błyszczą dobrze mi znaną drwiną.

– Byłe przetrwać ten cyrk, nie? – szepcze do mnie Veronica, kiedy się witamy.

Odpowiadam jej lekkim uśmiechem. Dobrze wiedzieć, że nie tylko ja nie miałam ochoty tu przychodzić. I nie chodzi o cel tego balu, bo ten jest bardzo szlachetny. Uważam, że trzeba wspierać młodych sportowców wywodzących się ze środowisk, które nie dają szans na rozwój. Rzecz w tym, że takie przyjęcia wiążą się z tańcami. A gdy są tańce, jest również dotyk.

Nienawidzę dotyku.

– Jesteś chora, ptaszynko?

Spoglądam niepewnie na Tristana. Tak jak podejrzewałam, te słowa skierowane są do mnie.

– Proszę? – Mój głos delikatnie się załamuje. Zawsze tak się dzieje, gdy z nim rozmawiam.

– Wyglądasz, jakby cię głodzili w domu. – Szatyn wkłada ręce do kieszeni garniturowych spodni. – Widziałas się ostatnio w lustrze?

– Ona na pewno. Za to w twoim przypadku można mieć wątpliwości – ripostuje Veronica. – Zamknij się, usiądź i spróbuj

choć przez kilka godzin sprawiać pozory ogarniętego. Inaczej nie licz na moją pobłażliwość.

Tristan mruży oczy, jego siostra również. Wygląda to tak, jakby rozmawiali bez słów. Chłopak nagle kiwa nieznacznie głową, po czym siada.

– Nie słuchaj tego idioty. – Veronica macha zdawkowo ręką. – Wyglądasz ślicznie.

Z trudem przełykam ślinę.

Na znajdującej się nieopodal scenie staje młoda kobieta. Prosi o zajęcie miejsc, co robię natychmiast. Skupiam się na prowadzącej, byle tylko nie patrzeć na Jamesa. Odkąd dziadek powiedział mi o swoich zamiarach i o tym, że nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia, czuję niewyobrażalny stres, wręcz przerażenie. To sprawia, że do moich oczu napływają łzy. Szybko je odgania.

– Z ogromną radością i wzruszeniem witam państwa na naszej wyjątkowej gali dobroczynnej, która jest okazją nie tylko do wspólnego świętowania, ale przede wszystkim do czynienia dobra. Zebraliśmy się tutaj, by wesprzeć młodych, utalentowanych i zdeterminowanych ludzi, którym los nie dał łatwego startu. Sportowców, którzy mimo przeciwności każdego dnia walczą na macie, na boisku, lecz jednocześnie o swoją przyszłość – mówi do mikrofonu prowadząca.

Po niezwykle długim przywitaniu następują przemówienia organizatorów oraz ambasadorów. Kilka minut przy mikrofonie dostają również młodzi sportowcy. Mówią o swoich marzeniach i ograniczonych zasobach na rozwój. Boli mnie serce, gdy słyszę prześmiewcze komentarze Tristana. Nie znoszę tych jego szyderstw. Uważa się za lepszego tylko dlatego, że miał więcej szczęścia od innych, a przecież mógł być na miejscu jednego z tych chłopaków.

Po części oficjalnej scenę zajmują tancerze oraz muzycy – podopieczni organizacji, która również ich wspiera. Niespełna godzinę później podają kolację, po niej odbywają się licytacje,

aż docieramy do znienawidzonej przeze mnie części wieczoru. Wstaję, by jak najprędzej ukryć się w łazience, gdy nagle dostrzegam wysuniętą ku mnie pomarszczoną dłoń.

Podnoszę niepewnie wzrok na stojącego przede mną starszego mężczyznę. Żółć podchodzi mi do gardła.

– Jeden taniec – mówi pan Linton. Jest przyjacielem rodziny. Odkąd pochował żonę, nie kryje się już z fascynacją, jaką darzy młode dziewczyny.

Dziewczyny.

Nie kobiety.

Szukam spojrzeniem matki, która niemo nakazuje mi przyjąć zaproszenie. Robię to z wahaniem. Każdy mięsień w moim ciele się napina, kiedy pan Linton prowadzi mnie za rękę na środek parkietu. Ledwie odnajdujemy miejsce w tłumie, a on przyciąga mnie do siebie, tak że nasze klatki piersiowe się ze sobą stykają.

Mój oddech momentalnie robi się ciężki i niemiarowy.

– Wyglądasz oszałamiająco, Genevieve.

– Dziękuję – mamroczę, skupiając spojrzenie na jego fraku.

– Dawno cię nie widziałem. Wydoroślałaś.

Spozycywająca w dole moich pleców dłoń pana Lintona powoli, wręcz boleśnie, zjeżdża niżej... niżej... niżej... aż dociera do pośladków. Mężczyzna ściska je delikatnie i jeszcze mocniej mnie do siebie przysuwa. Zamykam powieki, by powstrzymać łzy.

– Ach, Genevieve – szepcze mi wprost do ucha. – Gdybyś tylko była trochę starsza... – Jego ręka wraca na moje plecy. – Pokazałbym ci, czym jest prawdziwa przyjemność.

Uciekam myślami daleko stąd.

Wyobrażam sobie, że jestem na polanie. Takiej zielonej, porośniętej pięknymi, kolorowymi kwiatami. Wokół są drzewa oraz krzewy, dzięki czemu nikt mnie tu nie widzi. Leżę beztrudnie na miękkiej trawie, delektuję się śpiewem ptaków, owady łaskoczą moją skórę, słońce ją ogrzewa.

Jestem szczęśliwa. Bezpieczna.

Jestem szczęśliwa, ponieważ jestem bezpieczna.

– Odbijany. – Do moich uszu dociera znajomy głos.

Otwieram oczy, gdy nagle przestaję czuć na sobie rozgrzane ręce pana Lintona. Mężczyzna wycofuje się i prędko zostaje zasłonięty przez ubranego w czerń chłopaka, który porywa mnie w objęcia. On jednak robi to subtelniej, z większym wyczuciem. Dłonie nowego partnera są lodowate, jakby dopiero co wyjął je z wypełnionego lodem pojemnika.

– Zamierzasz już do końca życia unikać mojego spojrzenia?

Wpatruję się w klatkę piersiową Jamesa, zbieram się w sobie, aż w końcu podnoszę na niego wzrok.

– Tak lepiej. – Unosi nieznacznie kąćki ust. – Nie ukrywaj się. Nie przede mną.

– N-nie robię tego.

– Oczywiście, że nie – mówi ciszej.

A mój strach powraca. Rozlewa się po klatce piersiowej niczym wrzątek.

Pewność, a zarazem łagodność, z jaką James mnie trzyma, są przytłaczające. Kręci mi się w głowie, kiedy wirujemy pośród morza tańczących par. Choć wcześniej nie miałam odwagi, by na niego spojrzeć, teraz nie potrafię oderwać od niego oczu. Tak się dzieje za każdym razem, gdy na niego patrzę.

– Nie tykam dzieci.

Mrugam pospiesznie, lekko zagubiona. Chłopak ewidentnie to widzi. Okręca mnie i znów do siebie przyciąga.

– Zdaję sobie sprawę, że nasze obecne położenie może być dla ciebie niekomfortowe, ale wiedz, że nie przekroczę żadnej granicy – mówi z powagą. – Nie bez twojej zgody.

– Och...

James unosi brew, cień uśmiechu znów majaczy mu na ustach.

– Och? – Zjeżdża spojrzeniem na mój biust, który bez wątpienia pokrył się już czerwienią. – Czyżbym cię zawstydził? – pyta z nutą drwiny. – A może czujesz zawód?

Nie odpowiadam. Nie wiem, co miałabym powiedzieć.

Dorastanie w otoczeniu, w którym cyfry na koncie układają się w sumy, o jakich większość ludzi może tylko śnić, jest zarówno dobrodziejstwem, jak i przekleństwem. Wydawałoby się, że posiadając tak wiele, można wieść spokojne życie, spełniać marzenia.

Nic bardziej mylnego.

Herrerowie od dekad pomnażają majątek, umacniając swoją pozycję oraz markę w świecie, a jednocześnie z pokolenia na pokolenie przekazują silne wartości i wizje. Od dziecka wpajano mi, że muszę zdobyć elitarnie wykształcenie, by w przyszłości właściwie zarządzać firmą, a także nie odstawać od towarzystwa, w którym przyszło mi się obracać.

Moja matka nie zaakceptowała wybranych przeze mnie znajomych – jej zdaniem powinnam zadawać się z rówieśnikami o takim samym statusie społecznym. Zerwałam więc z nimi wszystkie kontakty, zanim ona w jakiś sposób pozbyłaby się tych ludzi z mojego życia. Wiem, że byłaby do tego zdolna.

Muszę mieć najwyższe stopnie, uważać na każdy swój ruch i słowo, ponieważ reputacja to świętość, a jeśli się do czegoś biorę – mam być w tym najlepsza. W naszym domu wyznaje się zasadę, że wygranym jest tylko pierwszy. Każdy kolejny to przegrany. Właśnie dlatego w kwestii baletu, którego naukę wręcz wyblagałam, matka wywiera na mnie tak dużą presję.

W świecie Herrerów nie ma mowy o swobodzie, własnym zdaniu czy wyborach. O wszystkim decydują Harrison i Alexandra. Matka mówi mi, jak mam wyglądać, jak się wyrażać, z kim rozmawiać, kogo ignorować, gdzie być, co robić, podczas gdy dziadek zarządza moją przyszłością, jakby była okazją

biznesową do wykorzystania, o czym niedawno dobitnie się przekonałam.

Podczas jednej z kolacji, na którą zaprosili nas Vanderbiltowie, zostałam poinformowana, że za kilka lat stanę u boku starszego syna Charlesa, Jamesa, przed ołtarzem. Nie pozwolono mi zabierać głosu, choć w tamtej chwili i tak brakowało mi słów. Byłam zszokowana. Nikt mnie o tym wcześniej nie uprzedził, nie przygotował do tego, o nic nie zapytał.

Zdaniem Harrisona połączenie naszych rodzin nie tylko umocni pozycję Herrerów w świecie, ale też zabezpieczy nasz majątek. Nie zawahał się w towarzystwie Vanderbiltów przypomnieć o nieudanym małżeństwie mamy ani wytknąć, jak fatalnie jej wybór męża mógł się skończyć dla firmy. Dziadek uważa, że mój ojciec prawie ją zniszczył. Nie chce popełnić tego samego błędu drugi raz, dlatego zdecydował oddać moją rękę synowi człowieka, któremu bezgranicznie ufa. Mówi, że to transakcja, która wszystkim się opłaci. Przypuszczam, że gdybym była pełnoletnia, już nosiłabym na palcu obrączkę. Na samą myśl o tym chce mi się wymiotować. Czuję złość na przemian ze strachem.

Nie chcę wychodzić za Jamesa. Nie chcę żyć pod dyktando matki ani dziadka. Nie chcę być dotykana przez kolejnego mężczyznę. Chcę tańczyć. Chcę się uczyć. Chcę decydować o sobie.

– Jeszcze nieraz życie zmusi cię do zrobienia rzeczy sprzecznych z twoimi przekonaniem, planami czy marzeniami. Spraw, że będziesz musiała zacisnąć zęby, aby przetrwać – mówi James wprost do mojego ucha, jakby czytał mi w myślach. – Wiesz, co wtedy trzeba zrobić?

Znów na niego patrzę. Nie odzywam się, ale daję do zrozumienia, że chcę odpowiedzi.

Dostaję ją chwilę później.

– Trzeba żyć dalej, Genevieve. – Porusza pewnie naszymi ciałami. – Bez sentymentów.

Zarówno Tristan, jak i Veronica są dla mnie otwartymi księgami. Nietrudno zgadnąć, co dzieje się w ich umysłach, poza tym bardzo chętnie wygłaszają swoje opinie, nawet gdy nikt o to nie prosi. W przypadku Jamesa jest inaczej. Znam go od zawsze, a jednak wciąż go nie rozgryżłam. Potrafi być bezwzględny, zrównać człowieka z ziemią, ale też miewa ludzkie odruchy, które zupełnie nie pasują do wizerunku, jaki kreuje na co dzień. W towarzystwie nie szczędzi mi prześmiewczych spojrzeń, za to gdy jesteśmy sami, jak teraz, dostrzegam przedzierającą się przez fasadę obojętności delikatność.

Ale to nic nie zmienia.

Przeraża mnie wizja przyszłości, jaką stworzyli dla mnie Alexandra i Harrison. Przeraża mnie rzeczywistość, w której miałabym się budzić u boku cztery lata starszego ode mnie Jamesa. Nie chcę tego i naprawdę mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Że to tylko puste słowa.

Londyn, rok 2010

ROZDZIAŁ 2



List od wielbiciela

Genevieve

Wrzawa ogarnia salę. Owacje i gwizdy atakują mnie z każdej strony, sprawiają, że moje serce bije mocniej. Kurtyna się unosi. Łabędzie ustawione w dwóch rzędach po dwóch stronach sceny stoją w piątej pozycji i synchronicznie wykonują *port de bras*. Gdy wracają do pozycji wyjściowej, wybiegam zza kulis z ramionami płynnie wyrzucenymi w tył w geście imitującym ruch skrzydeł, po czym wraz z trzema baletnicami wykonujemy równocześnie taki sam głęboki ukłon.

Kolejne łabędzie wybiegają na scenę, po nich Rotbart, a na końcu Odetta z księciem Zygfydem. Brawa przybierają na sile, ludzie wstają z foteli, by wyrazić emocje, które dusili w sobie przez cały spektakl.

Przysmakuję powieki, napawając się tą chwilą. Karmię się adoracją publiczności, wyobrażając sobie, że przyszła tu dla mnie. Nie powstrzymuję uśmiechu, który wręcz wypycha mi się na usta, gdy ten piękny obraz pojawia się w mojej głowie.

Wcielając się w Odettę oraz Odylię Cecil kłania się kilka razy, wyraźnie cieszy się tym momentem. Wygląda pięknie i skłamałabym, mówiąc, że coś było nie tak. Zatańczyła znakomicie. Naprawdę wiele bym oddała, by któregoś dnia być jak ona.

Kurtyna opada, światła gasną, wkrótce potem znów się zapalają, jednak tym razem są żółte, bardzo subtelne. Oklaski wciąż

są tak samo burzliwe jak minutę czy dwie temu, za to na scenie rozpętuje się istny chaos. Tancerki otaczają Cecil, gratulują jej świetnego występu, Rafael wcielający się w rolę księcia Zygryda chwyta ją w ramiona i kilkukrotnie okręca się wokół własnej osi. Atmosfera jest iście elektryzująca.

– Oto ona. Księżniczka tej sceny! – Donośny głos Sebastiana, reżysera i choreografa, wybrzmiewa pośród okrzyków, rozmów i oklasków. Mężczyzna podchodzi do Cecil, chwyta ją za policzki, a następnie zostawia na każdym z nich po całusie. – Byłaś fenomenalna. Zawładnęłaś deskami tego teatru, moja Ètoile.

Obserwuję z boku uśmiechniętą od ucha do ucha dziewczynę, nie potrafiąc zapanować nad zazdrością, która cichutko zasiadła w ciemnym, ledwie widocznym zakamarku mojego serca. Wiem, że mam jeszcze czas, że jestem młoda i jeśli będę ciężko pracować, któregoś dnia może stanę na miejscu Cecil. Mimo to nie umiem sobie poradzić z ogarniającym mnie smutkiem, ale też uczuciem beznadziei. Próbowалаm je zwalczyć jeszcze długo po tym, jak Sebastian obwieścił, kto otrzymał główne role, ale one wciąż wracają. Niezmiennie dają o sobie znać, przypominają o wyrazie twarzy matki, kiedy usłyszała tę nowinę. Była zawiedziona.

Wycofuję się za kulisy, po czym zmierzam do garderoby. Nie trudno mi pozostać tu niezauważoną. Jestem cieniem pośród innych baletnic. Zaakceptowałam już fakt, że one mnie nie widzą, ale to nie znaczy, że zgadzam się zatrzymać na tym, co już osiągnęłam.

Chcę więcej.

Pragnę tego całą sobą. Aż do bólu.

Gdy przekraczam próg garderoby, zdejmuję paczkę oraz pointy i zajmuję miejsce przy jednej z toaletek, gdzie wcześniej została moja kosmetyki. Biorę się do zmywania makijażu, z całych sił próbując zignorować pulsowanie głowy. Pozbywam się piór, wsuwek, rozpuszczam włosy. Są sztywne od lakieru, dlatego

przejeżdżam po nich palcami i zbieram w luźny kucyk. Czuję niewyobrażalną ulgę.

– Genevieve?

Patrzę w prawo, na stojącą w wejściu Laure, która pracuje w teatrze. W rękach trzyma bukiet róż oraz jakąś kopertkę, uśmiecha się do mnie ciepło.

– Jakiś starszy facet kazał ci przekazać ten list oraz kwiaty. Powiedział, że jest twoim wielkim fanem i wierzy, że któregoś dnia zobaczy cię w roli Odetty. – Odkłada wszystko na stolik obok mojej toaletki.

Przyjemne ciepło ekscytacji rozlewa się po moim wnętrzu.

– Naprawdę? Dziękuję bardzo – odpowiadam cicho, niepewna, czy Laura w ogóle to usłyszy w panującym tu gwarze.

Nim dziewczyna wychodzi z pomieszczenia, puszcza do mnie oko, więc uznaję, że usłyszała. Niespełna pół godziny później jestem już ubrana w spódniczkę, sweter i wygodne buty. Starałam się zrobić to jak najszybciej, bo z każdą minutą byłam coraz ciekawsza listu.

Nigdy wcześniej nie otrzymałam takiego prezentu. Mam wielu fanów, a gdy już decydują się czymś mnie obdarować, stawiają właśnie na kwiaty. Nigdy nie przelewają swoich myśli na papier, dlatego tak bardzo cieszę się na to, co przeczytam.

Z nikim się nie żegnam. Mijam na backstage'u kilka osób zajmujących się przedstawieniem i zmierzam do wyjścia. Chłodny wiatr atakuje mnie z każdej strony, kiedy przez boczne drzwi wychodzę z teatru. Przemierzam wąską, oświetloną jedynie słabą jarzeniówką uliczkę, docieram na główną drogę i odszukuję w tłumie wciąż wychodzących z budynku osób Benjamina. Stoi nieopodal, rozglądając się wokół. Kiedy mnie zauważa, kąci jego ust unoszą się wysoko.

– Jak przedstawienie? – Odbiera ode mnie torbę i otwiera tylne drzwi.

– W porządku. – Odwzajemniam jego mały, uprzejmy gest. –
Bardzo emocjonujące.

Kładę bukiet na fotelu obok, po czym zapinam pasy. Gdy tylko Benjamin odjeżdża spod teatru, wydaję z kieszeni płaszcz kopertę i niecierpliwie ją rozrywam. Serce uderza mi w piersi równie mocno, jak w momencie zakończenia przedstawienia.

Mój pierwszy list od fana.

Coś niesamowitego.

Rozkładałam papier i czytam.

Najdroższa Genevieve,

po spektaklu Śpiącej Królowny Twoja urocza osóbką utknęła w mojej głowie na długie godziny i mimo upływu miesięcy wciąż w niej jest, dlatego zdecydowałem, że napiszę list i dam wreszcie upust drzemiącym we mnie uczuciom, które rozbudziłaś swoimi finezyjnymi ruchami, piękną buzią, ale przede wszystkim otaczając Cię aurą.

Masz w sobie coś, co mnie oczarowało. Nie potrafię znaleźć słów, które odpowiednio wyrażą to, jak na mnie działasz, ale w moich oczach również jesteś jedną z wróżek. Przysięgam, że nigdy wcześniej nie poczułem tak silnych emocji, patrząc na baletnicę niebędącą główną postacią w sztuce. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie poświęcałem tłu aż tak dużo uwagi. Jesteś jedyną, która potrafiła odciągnąć mój wzrok od głównej roli. Oczarowałaś mnie, Genevieve.

Nie hamuję uśmiechu. Pozwalam sobie na chwilę zanurzenia się w adoracji płynącej z tego listu. Spoglądam za okno, na znikające szybko budynki, a następnie wracam do kartki w swoich rękach.

Odkąd ostatni raz widziałem Twoją piękną buzię, minęło już kilka miesięcy, ale wspomnienia Twojego cudownego

ciała oraz tej niewinnej twarzy wciąż są wyraźne. To one sprawiają, że stoję się niecierpliwym. To dzięki nim zasypiam spełniony. To Twoje imię wypowiadam, gdy owo spełnienie osiągam.

Czasem wyobrażam sobie, że jesteś moja, Genevieve. Że ta niewinność, którą pokazujesz światu, należy tylko do mnie. Zamykam oczy i widzę, jak zmęczona po kolejnym wyśmienitym występie wracasz do naszego domu, po czym wtulasz się w moje ramiona. Coraz częściej łapię się także na myśli, że nie chcę już patrzeć, jak grasz kogoś innego. Chcę Ciebie, Genevieve. Chcę Ciebie taką, jaka jesteś, gdy nikt nie patrzy. Twoje spojrzenie sprawia, że chcę zabrać Cię daleko stąd, ukryć i zatrzymać czas, zanim dorośniesz. Zanim zamienisz się w kogoś innego.

Niekiedy myślę, że to, co do Ciebie czuję, jest jak sekret, o którym nikt nie powinien wiedzieć. Ale ja go w sobie pielęgnuję – i nawet jeśli nigdy nie będzie dane nam się spotkać twarzą w twarz, poradzę sobie. Bo ilekroć zamykam oczy, wszystko staje się prawdziwe. Wtedy jesteś tu, obok mnie, a ja wiem, że mogę zrobić z tym obrazem, co tylko zechcę.

Myślę o Tobie każdego dnia. Każdej nocy.

Wielbię Cię.

*Z miłością
William*

Patrzę tępo w kartkę, nie potrafiąc wykonać żadnego ruchu. Zdrętwiały mi ręce, a nogi stały się tak ciężkie, jakby przywiązano do nich kilkunastofuntowe kamienie. Jestem pewna, że nie oddycham. Że nawet moje serce przestało bić.

– Panienko? – Znajomy, lecz stłumiony głos wyrывa mnie z letargu.

Spostrzegam, że list w moich dłoniach drży.

Nie jest mi zimno. Chyba. Nie mam pewności. Może jednak zamarzam? Tak. Na pewno Benjamin otworzył okno. Podnoszę wzrok. Nie. Okna są zamknięte. Dlaczego więc mi zimno? I dlaczego czuję jednocześnie spływający po policzkach pot? Przykładam do nich palce. Nie. To nie pot. To łzy. Bardzo dużo łez.

– Panienko Genevieve. – Dociera do mnie nieco donośniejszy głos Benjamin.

Nasze spojrzenia spotykają się w lusterku wstecznym. W oczach szofera widzę strach. Nie rozumiem dlaczego. Coś się stało?

– Tak?

To na pewno mój głos? Zdaje się inny od tego, którym mówię na co dzień.

– Wszystko w porządku? – pyta Benjamin.

Czy wszystko w porządku? Nie wiem. Przeczytałam właśnie list od swojego pierwszego fana. Napisał, jak cudowna jestem. Zauważył mnie. I wyznał, że fantazjuje o mnie przed snem.

Czy wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam. Robię to bezbarwnie. Nisko. Inaczej.

Teraz już nie tylko dłonie mi drżą, ale też ramiona, nogi i szczeka.

– Mógłbyś zwiększyć moc ogrzewania? – zwracam się do mężczyzny. – Strasznie tu zimno.

Benjamin znów spogląda w lusterko, ja też to robię.

– Oczywiście, panienko.

Przysuwam kolana do klatki piersiowej, po czym oplatom je rękami. Pas uwiera mnie w brzuch, jednak nie mam siły już się ruszyć. Nie chcę tego robić. Odchyłam głowę do tyłu i przymykam powieki. Liczę do dziesięciu, próbuję przenieść się myślami w inne miejsce, ale mi się nie udaje.

Paraliżujący strach rozlewa się po moim wnętrzu. Dociera w każdy zakątek serca i oblewa go swoim mrokiem. Łzy, nad któ-

rymi nie potrafię zapanować, spływają po mojej twarzy, przez szyję, pod sweter.

Jestem zmęczona.

Tak bardzo zmęczona byciem kobietą.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

CZY MOŻNA ZAUFAC KOMUKOLWIEK,
JEŚLI NIE UFA SIĘ NAWET OSOBIE,
KTÓRĄ WIDZI SIĘ W LUSTRZE?

Wizyta Alexandry i następujący po niej poranek są niczym huragan, który zmiata wszystko, co spotyka na swojej drodze. Nastolatki z siłowni czują się zdradzeni, June odwraca się od Grace, a Damien znika. Mimo to Grace nie zamierza uciekać – postanawia zmierzyć się z konsekwencjami swoich decyzji. Brytyjskie gazety ani myślą odpuścić gorący temat, jakim stali się przemierzający edynburskie ulice Damien i tajemnicza nieznajoma. Każdego dnia pojawiają się nowe kompromitujące nagłówki, które odzierają Grace z godności. Dziennikarze nie mają litości dla dziewczyny. Wdeptują ją w ziemię.

W dodatku Grace dowiaduje się, że jej oprawca jest bliżej, niż myślała, a ludzie, których miała za sojuszników, mogą wcale nie stać po jej stronie. Dziewczyna już nie wie, co jest prawdą, a co kłamstwem. Zaczyna wszystko kwestionować. A gdy się wydaje, że gorzej być nie może, dzieje się coś, co burzy obraz kobiety, jaką Grace przez lata starała się być. Nagle się okazuje, że pod maską zobojętnienia, niekiedy wściekłości, wciąż kryje się trzynastolatka, która przeraźliwie boi się ciemności i tego, co ona niesie.

To nie jest historia o wojowniczej dziewczynie, która dzielnie wszystko znosi.
To brutalna prawda o byciu człowiekiem.

TOM II SERII POZORÓW

